



MARGOTA
KOTT

Śledztwo w sanatorium

Powieść tę dedykuję pani Katarzynie Żurawskiej,
która dokłada wszelkich starań, by kuracjusze
w ciechocińskich sanatoriach
miło i z pożytkiem spędzali czas

Część 1

Warto jechać do kurortu

*Dziwnych okoliczności i niewiarygodnych splotów wydarzeń
należy się spodziewać w normalnym życiu, które zawsze tworzy
znacznie bardziej powikłane scenariusze,
niż można by to sobie wyobrazić.*

Arthur Conan Doyle, „Przygody Sherlocka Holmesa”

Prolog

Za szybą sanatoryjnej kawiarni przemycił cień. Czaił się pomiędzy wyniosłymi tujami, kryjąc się w ciemnościach. Pomimo zamkniętych drzwi słysząc było skoczne dźwięki najbardziej modnego szlagieru tego roku:

*Nie wiem nawet kiedy to się stało
Był cudowny letni dzień
Cisza nam zagrała a pod tężniami
Pierwszy raz ujrzałem Cię*

Fragment piosenki Adama Chroli „W Ciechocinku”

Solista doskonale naśladował melodyjny głos Adama Chroli, a liczne pary, przytulone do siebie w tańcu, kołysały się rytmicznie w takt muzyki. Z zewnątrz wszyscy tancerze byli świetnie widoczni. Wysokie okna przysłaniała jedynie biała muślinowa firanka, która służyła bardziej ozdobie aniżeli strzeżeniu ludzkich tajemnic. Cień poruszył się znów, lecz nie zniknął. Wyraźnie przyglądał się tańczącym kuracjom. Pod ścianami ustawiono stoliki, jednak w tej chwili siedzieli przy nich tylko nieliczni. Wieczorne potańcówki przyciągały tłumy. Właściciele pensjonatu dbali o swoich gości, serwując im muzykę na żywo. Przygarbiona postać przekradła się niepostrzeżenie bliżej okna. Nikt z wnętrza oświetlonej sali nie mógł zobaczyć czającego się człowieka. Obserwujący natomiast ogarniał wzrokiem wszystkich, niczym na scenie w teatrze. Z tej odległości mógł dostrzec nawet kształt broszki czy kolor apaszki, które zdobiły suknie tańczących kobiet. W momencie, gdy przez oszklone drzwi kawiarni wyszły dwie rozbawione osoby, cień cofnął się błyskawicznie, kryjąc się za gęstą

ścianą żywopłotu. Nawet gdyby go wypatrywali, domyślając się jego istnienia, nie byłoby w stanie dostrzec żadnych szczegółów. Ten fragment ogrodu, okalającego gmach sanatorium, pozostał zatopiony w ciemności. Zresztą, para która wyszła na papierosa, zajęta była sobą bez reszty. Kobieta śmiała się perliście, odgarniając kokieteryjnie włosy z twarzy. Mężczyzna zaś, wyjąwszy papierosa, wyciągnął dłoń w stronę swojej towarzyszki, podając jej ogień. Pochylali się ku sobie, szepcząc sekretne słowa, niesłyszalne dla nikogo innego. Dwie smużki dymu szybowały w rozgwieżdżone niebo. Ciechocinek nocą krył wiele tajemnic. W półmroku chwiały się cienie, zastygały w przestrzeni gorące wyznania, a dobiegająca z sali muzyka romantycznie nastrajała.

Nagle kobietą wstrząsnęły dreszcze. Być może powodem był wieczorny chłód ogarniający miasteczko. Bardziej prawdopodobna przyczyna tkwiła jednak w emocjach, które targały nocną tancerką. W końcu mężczyzna dżentelmeńskim gestem zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona, obejmując ją przy tym w sposób niebudzący wątpliwości, co do jego zamiarów.

Gdy para wróciła na salę, a na zewnątrz nie było nikogo, złowieszczy cień przemknął zwinnie ku rozświetlonej szybie z drugiej strony budynku. Stamtąd rozciągał się jeszcze lepszy widok. Pomiędzy przyszyżonymi krzewami, pysznił się wypielęgnowany skalniak. Tajemniczy cień jednak nie był zainteresowany doskonale dobranymi roślinami i ich kompozycją. Schylił się, wążąc w dłoni coś ciemnego. Odłożył jednak przedmiot, by wybrać inny, znacznie większy. Charakterystyczne ugięcie ręki sugerowało znaczną wagę obiektu. Zastygł w bezruchu, czekając niczym pająk pośrodku misternie utkanej sieci. Wypatrywał cierpliwie, aż z jasności ku cieniom ogrodu podążyla ta jedna, wyczekiwana postać.

Była sama. Bezszelestnie podążył za nią. Ona, wiedzona zapewne jakimś zwierzęcym instynktem przetrwania, usłyszała kroki. Odwróciła się.

– To ty? – zapytała zdziwiona, jednak nie zdążyła już usłyszeć odpowiedzi.

Ciężki kamień rozbił jej czaszkę. I nawet gdy leżała nieruchomo na ziemi, nie wydając już żadnego dźwięku, złowrogi cień bił gwałtownie. Uderzał wiele razy, powodowany wściekłością i bólem, pragnąc na zawsze wymazać ją ze świata żywych. Odrzucał kamień w gęste zarośla, umknął zwinnie, pozostawiając za sobą zniszczenie i śmierć.

Przyjazd

Wszystko, co pierwsze, jest najlepsze, bo to początek.

Jenny Han, „Do wszystkich chłopców, których kochałam”

To był mój pierwszy raz. Nie, nie chodzi o dwuznaczność. Po prostu po raz pierwszy w życiu pojechałam do sanatorium. Złożyłam wniosek i dostałam skierowanie. Nie jestem ani stara ani schorowana. Mam pięćdziesiąt dziewięć lat i na początku miałam silne opory czy w ogóle skorzystać z takiej możliwości. Zawsze wydawało mi się, że takie miejsca są dla starszych. A ja przecież nawet jeszcze nie zdążyłam przejść na emeryturę. Lewa stopa jednak tak dała mi się we znaki, że podjęłam decyzję: Jadę!

I oto stałam teraz z walizką na kółkach przed niewielkim sanatorium w Ciechocinku. To urokliwe miasteczko o charakterze uzdrowiskowym. Czyste powietrze, praktycznie żadnego przemysłu, zero pośpiechu. Takie wrażenie odniosłam zaraz po przyjeździe. Aha, i dużo zieleni.

Będzie gdzie spacerować – pomyślałam, spoglądając na alejki pośród starych drzew na terenie miejscowego parku.

Jednak chwilę później uprzytomniłam sobie, że ze spacerami za bardzo nie zaszaleję. Przecież przyjechałam tu na rehabilitację stopy. Nie mogłam jej nadwyreżać. Badania wykazały, co mi dolega. Dwie rzeczy naraz: ostroga górna i dolna kości piętowej oraz zwężenie szpary stawu śródstopno – paliczkowego palucha. Brzmiało paskudnie i dokładnie takie było. Przez długi czas ignorowałam ból. Potem jednak już się nie dało.

Kiedy noga nie pozwalała mi spać w nocy, zgłosiłam się wreszcie do ortopedy. Fizjoterapia, fala uderzeniowa, a na samym końcu

„blokada”. Lekarz postraszył mnie, że jeśli nie będę z tym nic robić, czeka mnie operacja. *Suma summarum* skończyło się na sanatorium. Byłam ciekawa, co z tego wyniknie i czy przynajmniej ulży mi w dolegliwościach. Nie ukrywam, że jako bonus potraktowałam romantyczne ewentualności, które sugerowali stali bywalcy sanatoriów.

– W dzień zabiegi, a wieczorem będziesz na tańcach wywijać – podsumowała mój wyjazd Jola, bliska przyjaciółka.

Nieraz opowiadała mi bez ogródek, co tak naprawdę dzieje się w kurortach:

– Wyleniałe lwy i lwice zamieniają się w lwy salonowe – żartowała, a ja tylko się uśmiechałam.

Nie pragnęłam tego typu przygód, chociaż może i powinnam o tym pomyśleć. Od trzech lat byłam rozwiedziona i szczerze mówiąc nieco samotna. Nie wyobrażałam sobie jednak, by trzytygodniowy pobyt w sanatorium mógł zaowocować nawiązaniem prawdziwej relacji.

To tylko romansowanie dla sportu – podsumowywałam w duchu. – Albo chęć sprawdzenia, czy jest się jeszcze atrakcyjną w oczach płci przeciwnej.

Nie wierzyłam, że w sanatorium można spotkać prawdziwą miłość. I wcale się na to nie nastawiałam.

Kiedy podeszłam do przeszklonych drzwi, te otworzyły się zapraszająco. Po przekroczeniu progu sanatorium poczułam, że zaczyna się w moim życiu nowy rozdział. W tym momencie bowiem stałam się pełnoprawną kuracjuszką.

– Dzień dobry! Czym mogę służyć? – zapytała młoda, sympatyczna recepcjonistka w wiśniowym uniformie.

Zauważyłam, że na górnej kieszonce miała zawieszoną plakietkę z logo sanatorium i imieniem Sara.

Odwzajemniłam uśmiech.

– Dzień dobry! – odpowiedziałam, po czym sięgnęłam do torebki po dowód osobisty i skierowanie. – Przyjechałam na turnus

– wyjaśniłam, a recepcjonistka o pięknym biblijnym imieniu pochyliła się nad laptopem, szukając mnie wśród gości.

Rozejrzałam się po hallu. Był czysty, nowoczesny i urządzony ze smakiem. Z głośników sączyła się delikatna muzyka instrumentalna. Działała odprężająco. Poczułam się jak na wakacjach. W duchu cieszyłam się, że tu przyjechałam.

Należy mi się wreszcie odpoczynek od codzienności – podsumowałam.

Ani w zeszłym roku, ani dwa lata temu nie wyjechałam na żadne wakacje. Zajmowałam się remontem albo pomagałam bliskim. Teraz czas było pomyśleć o sobie.

– Pani Ewo! – Sara oddała mi dokumenty, po czym wręczyła klucz. – Formalnościom stało się zadość. Zapraszam do pokoju. Będzie pani mieszkała pod numerem trzynastie. Mam nadzieję, że to nie problem? – Na jej twarzy przez chwilę przemknęło zmieszanie.

– Chodzi o pechową trzynastkę? – domyśliłam się rozbawiona. – Skądże, absolutnie nie wierzę w magię liczb, czarne koty przynoszące nieszczęście ani też w podobne sprawy.

Recepcjonistka odetchnęła z ulgą.

– Pokój jest dwuosobowy – poinformowała. – Pani współlokatorka zdążyła już dojechać. Nazywa się Elżbieta Rydział.

Miałam nadzieję, że babeczka okaże się sympatyczna. W końcu spędzimy ze sobą trzy tygodnie. Byłam dobrej myśli i już cieszyłam się na nową przygodę. Lubiłam ludzi, a oni lubili mnie. Taki charakter. Byłam, jak to się mówi: bezkonfliktowa. Nie oznaczało to jednak, że można było mną manipulować. Co jak co, ale potrafiłam określać własne granice. No, może tylko z byłym mężem mi się to nie udało ale to zupełnie inny temat. Nie chciałam o tym myśleć w tej chwili.

Udałam się w stronę windy. Mój pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Przeszklona i nowoczesna kabina bezszelestnie

poszybowała w górę. Chwilę później zatrzymała się i otworzyły się drzwi. Miałam do wyboru: iść w prawą albo w lewą stronę. Jednak po chwili zauważyłam tabliczki ze strzałkami i numerami pokoi. Miałam klucz, jednak uznałam, że grzeczniej będzie zapukać. W końcu w środku znajdowała się już moja współlokalka. Byłam jej bardzo ciekawa.

Kiedy otworzyła mi drzwi, obie wybuchnęłyśmy śmiechem. Byłyśmy do siebie podobne jak siostry. Wyglądało to tak, jakby za otwartymi drzwiami do pokoju znajdowało się lustro. Nawet kolor odzieży dobrałyśmy podobnie. Ciepłe beże i czekoladowe brązy. Przestąpiłam próg. Kółka walizki jednak zaczęły się o framugę. Szarpnęłam, lecz nie dały za wygraną. Pani Elżbieta przysłała mi z pomocą. Uniosła walizę bokiem i odporne kółka natychmiast posłusznie wjechały na gładką podłogę w przedpokoju. Od razu poczułam sympatię do tej kobiety. Kurze łapki wokół oczu ujawniały tendencję do częstego uśmiechu. Postawiłam potwora koło szafy wnękowej. Wyciągnęłam rękę w geście powitania.

– Pięknie dziękuję – zaczęłam. – Ewa jestem.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała. – A ja Ela. Zapraszam!

Skłoniła się niczym stewardesa zapraszająca pasażerów na pokład. Przyjrzałam się jej bliżej. Elementem różniącym nas była jej fryzura. Ja od lat chesałam się na grzecznego boba, ona natomiast miała nieco rozwichrzoną blond czuprynę, przetykaną gdzieniegdzie szlachetną siwizną. My, blondynki, starzejemy się godniej niż brunetki czy rudowłose. Siwych pasemek nie widać tak bardzo pośród jasnych włosów. Oczywiście zawsze pozostaje farbowanie. Rzadko która kobieta nosi z godnością siwiznę. Chociaż znałam kilka takich babeczek, którym srebrzyste włosy dodawały elegancji i uroku. Wszystko zależało od tego, jak ktoś się z tym czuł i jak mu to pasowało.

Zdjęłam buty i odetchnęłam z ulgą. Dopiero teraz bowiem poczułam, jak bardzo tak długa podróż odcisnęła piętno na moich

stopach. W szczególności na lewej.

– Herbaty? Kawy? – Pani Elżbieta z naturalnym wdziękiem przejęła rolę gospodyni.

– Kawy nie pijam, ale herbatkę wypiję z dziką rozkoszą – wyznałam. Otworzyłam walizkę i wyjęłam z niej wygodne kapcie na słupku. Moja noga odwdzieczyła się od razu. Poczułam się lekko i przyjemnie. Jak w domu. Woda w czajniku elektrycznym bulgotała wesoło, a ja tymczasem skorzystałam z toalety. Wystrój utrzymany był w stonowanych kolorach, wszystko tu było dopasowane i wygodne. Od razu zwróciłam uwagę na metalowe, lśniące uchwyty zamocowane przy muszli i w obrębie natrysku. W końcu znajdowałam się w sanatorium, miejscu, do którego przyjeżdżają ludzie starsi i mniej sprawni. Ja na szczęście nie musiałam jeszcze korzystać z takich udogodnień i miałam nadzieję, że ten moment jest jeszcze hen, hen daleko ode mnie. Lubiłam się ruszać i, pomimo siedzącej pracy, byłam sprawna fizycznie. Tylko ta noga...

– Z cukrem? – zakrzyknęła współlokatorka.

– Momencik, tylko ręce opłuczę – odparłam, po czym wyszłam z łazienki odświeżona i pełna nowej energii.

Na stoliku stały już dwa kolorowe kubki z parującą zawartością. Wokół unosił się boski zapach kawy i cynamonu.

– Co do cukru, to dzięki – odpowiedziałam na poprzednie pytanie. – Nie słodzę od zawsze. Moja babcia umarła na cukrzycę, więc unikam tego dodatku jak mogę.

Pani Elżbieta także nie słodziła. Piła kawę mocną i gorzką. Podziękowałam za herbatę. Teraz dopiero przyjrzałam się dokładnie kubeczkom. Jej ozdobiony był napisem „Witaj przygodo!”, na moim natomiast widniało hasło „Chwytaj dzień!”. Takie drobiazgi potrafią wytworzyć pogodny nastrój.

– Podobają ci się kubeczki? – zauważyła z uśmiechem i dodała:

– Przywiozłam je tu ze sobą. Nigdy nie wiadomo na co się trafi.

– Są super! – odparłam delektując się czarną, aromatyczną herbatą. Earl Grey, dokładnie taką, jaką lubię najbardziej.

– Ale, ale – zmitygowała się. – Ja ci tu tak na ty walę, a może wcale nie masz na to ochoty? Jeśli tak, to przepraszam...

Jako że poczułam z nią od razu nic porozumienia, nie miałam zamiaru „paniować”. Tak było milej i prościej.

– Jasne. Nie ma sprawy – podsumowałam. – W końcu jesteśmy na siebie skazane przez te trzy tygodnie.

Zabrzmiało to tak, jakbyśmy zostały zamknięte za karę w kobiecym areszcie. Nie po to tu jednak obie przyjechałyśmy. Miał to być czas odpoczynku, radości i złapania nieco zdrówka.

– No więc: Ela jestem. – Wyciągnęła do mnie rękę z kieliszkiem koniaczku. Była niczym czarodziejka, nie zauważyłam bowiem wcześniej, żeby po niego sięgała.

– A ja Ewa. Bardzo mi miło. – Przedstawiłam się, już w sposób uroczysty, dostosowany do okoliczności.

Skrzyżowałyśmy ręce, po czym każda z nas wypila duszkiem bursztynową zawartość kieliszka. Zatkało i zapiekło, a w oczach stanęły świece. Roześmiałam się.

– Bardzo rzadko pijam alkohol – wyjaśniłam Elżbiecie.

– A sumie to ja też. Jednak taka okazja zdarza się tylko raz w roku.

– Raz? – Nie zrozumiałam.

– No tak, raz do roku jeżdżę do sanatorium. U nas w domu alkoholu w ogóle się nie pije. Mąż jest w tym postanowieniu nieugięty. Hmmm – pomyślałam sobie: – Jak to dobrze, że jestem rozwódką. Minęły czasy, kiedy to na moje życie i zwyczaje wpływał mąż. I nie chodziło w tym o alkohol.

Nie chcąc rozwijać tematów domowych zapytałam:

– To który raz jesteś w sanatorium? Bo ja dopiero po raz pierwszy.

– Ooo, ja to już piąty raz.

I dodała:

– Zobaczysz, jak będzie wspaniale. Na trzy tygodnie wymikujesz się z nudnej codzienności.

Nie uważałam, że moja rzeczywistość była nudna. Oczywiście to normalna rutyna i zachowanie równowagi na trasie: praca, pasje,

dom. Uwielbiałam przebywać wśród ludzi. Dotarło jednak do mnie, że Ela, pomimo fizycznego podobieństwa jest inna. Nosi zupełnie inny bagaż doświadczeń i ma zapewne nieco odmienne priorytety od moich. Tak to już jest. Najważniejsze jednak to dojść do porozumienia i miło razem spędzić czas.

Piłyśmy z kolorowych kubeczków i rozmawiałyśmy o niczym. Ela spojrzała na zegarek:

– Wiesz co? Obiad podają dopiero za dwie godziny. Co byś powiedziała na króciutki spacer?

Wyrzałam przez okno. Świeciło słońce zapraszając do wyjścia na zewnątrz.

– Jasne – zgodziłam się. – Czekaj, tylko się przebiorę.

Kiwnęła głową.

– A walizę rozpakuję potem – zdecydowałam. – Faktycznie, szkoda dnia.

Zabiegi miałyśmy zaplanowane dopiero od jutra. Ten dzień był przeznaczony na sprawy związane z dojazdem i aklimatyzacją.

Przyjazna dusza

*Nawet w spokojnym mieście w ludzkich głowach
budzą się demony.*

Ewelina Dydą, „Przychodzę nie w porę”

Ciechocinek mnie nie rozczarował. Był piękny i miał w sobie to coś. Wszystko tu było jakieś mniejsze, nieco cukierkowe, ale za to bardzo klimatyczne. Po uliczkach toczyły się meleksy z turystami spragnionymi zwiedzania miasta przy minimalnym nakładzie wysiłku. Doskonałym sposobem na to były również przejazdy bryczką. Wypielęgnowane pary koni ciągnęły dorożki, jakby żywcem wyjęte z XIX wieku. Sprawiało to niezwykle romantyczne wrażenie, roztaczając specyficzną aurę. Najbardziej jednak zachwycała mnie zieleń i kwiaty. Ciechocinek słynie bowiem z misternie zaaranżowanych, żywych dywanów kwiatowych. Bogactwo kolorów i ich kompozycje dosłownie zaparły mi dech. Wyobraziłam sobie, ile pracy trzeba było włożyć, by uzyskać tak spektakularny efekt. Nie wspomnę o wodzie. Na moim balkonie, w bloku, miałam zaledwie dwie skrzynki z surfiniami, i nawet one wypijały hektolitry wody w upalny dzień. A co dopiero te wszystkie kwietne dywany! Sięgnęłam po smartfona, by uwiecznić te niezwykle dzieła sztuki ogrodniczej. Przy okazji zrobiłam sobie kilka selfie z Elą. Na tle rabatek wyglądałyśmy jakoś młodziej i bardziej kwitnąco niż w rzeczywistości. Zresztą technika także zdziałała tu cuda, włączyłam bowiem w telefonie specjalne filtry wygładzające zmarszczki. Miękkie i czyste powietrze uzdrowiska sprawiło, że w ogóle nie czułam zmęczenia podróży.

A przecież spędziłam w autokarze wiele godzin, z króciutkimi tylko przystankami na tak zwanego papierosa.

W parkowej fontannie pływały łabędzie i kaczki. Woda szumiała leniwie. Usiadłyśmy na ławce. Miałyśmy dobry punkt obserwacyjny. Od strony ulicy i Grzybka, słynnej fontanny z solanką, spacerowicze kierowali się do Parku Zdrojowego.

– Spójrz! – Podekscytowana Ela trąciła mnie w bok, pokazując oczami parę, która właśnie nas mijała.

– Znasz ich? – zdziwiłam się.

Przecież Elżbieta przyjechała do uzdrowiska zaledwie kilka godzin przede mną. Kiedy więc zdążyła nawiązać jakiekolwiek znajomości? Odpowiedziała na to pytanie, kiedy mężczyzna i kobieta oddalili się na bezpieczną odległość.

– Mieszkają w naszym sanatorium – wyjaśniła. – A ta babka była tu także w zeszłym roku, dokładnie w tym samym terminie, co ja. Zdziwiła mnie trochę ta jej plotkarska natura. Nie wiem czemu, ale jakoś mi do niej nie pasowała. Widocznie jednam myliłam się. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. Patrzyłam na kaczki dla których to miejsce było całym światem. Ciekawe, gdzie chowały się na zimę?

– Już w pierwszy dzień udało jej się poderwać mężczyznę. – W jej głosie słychać było pewną nutkę zazdrości. – W zeszłym roku zrobiła dokładnie to samo.

Pomyślałam, że tegoroczny „łup” tamtej kobiety nie wygląda zbyt okazale. Był niski i miał wydatny brzuch. Pewnie kochał ciastka z kremem albo słodkie wino. A może i to, i to? Poza tym był stary. Znacznie starszy od swojej towarzyszki. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Może umówili się, że w następnym sezonie znów się tu spotkają? – domniemywałam, chociaż tak naprawdę ta sprawa wcale mnie nie obchodziła. Poza tym robiłam się coraz bardziej głodna. Wołałam teraz myśleć o obiedzie, aniżeli o sanatoryjnych parach.

– A kto powiedział, że to ten sam mężczyzna, co z zeszłym roku? –

Podniecała się Ela. – To zupełnie inny gość. Ale ma dziewczyna parcie na podryw!

Kobieta i mężczyzna okrążyli okazałe kwietne rabaty i podążyli zgodnie w stronę naszego sanatorium. Podniosłam się z ławeczki.

– Idziemy? – zadałam Elżbiecie retoryczne pytanie. Ona bowiem także wstała i skierowała się ku wyjściu.

– A wiesz, że to małe, senne miasteczko ma swoje kryminalne tajemnice? – wypaliła.

– Ela! – Prawie zakrzyknęłam. – Nie mów, że i ty kochasz kryminały i historie detektywistyczne? Bo jeśli tak, to chyba faktycznie świetnie się dobrałyśmy.

– A raczej o tym zadecydował ślepy los, koleżanko. – Roześmiała się ściągając mnie na ziemię.

– Gadaj jakie to tajemnice! Chcę je poznać jeszcze przed obiadem – poprosiłam.

Do posiłku zostało pół godziny. Nie trzeba było aż tak się spieszyć. Tu wszędzie było blisko, a poza tym nie odeszłyśmy zbyt daleko od naszego miejsca zamieszkania. Zwolniłyśmy więc kroku.

– Historia jest pikantna i nieco perwersyjna. – Puściła do mnie oczko.

– Ooo, teraz to mnie dopiero zaciekawiłaś!

Nie dodałam jednak, że bardziej zainteresowała mnie sama historia kryminalna, aniżeli jej romansowe oblicze. Okazało się jednak szybko, że sprawy te były ze sobą ściśle powiązane.

– Otóż wiosną 2015 roku przyjechała do Ciechocinka pewna starsza para: kobieta i jej znajomy. Ona miała 77 lat, on skończył 81. Zamieszkali w jednym pokoju, w którymś z miejscowych sanatoriów. Pewnego dnia sielankę przerwała głośna kłótnia. Nie zgadniesz, co było przyczyną...

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Czyżby poszedł na romantyczny spacer z młodszą?

Elżbieta roześmiała się.

– Nie. Gorzej. Mówiłam, że będzie nieco perwersyjnie.

Nie próbowałam się nawet domyślać dalszego ciągu. Czekałam, aż sama opowie.

– Pokłócili się, bo jego luba odmówiła mu... seksu.

– Co? – Zatkąło mnie na moment. Jakoś trudno mi było sobie wyobrazić ich współżycie cielesne.

– A tak. I na tej kłótni się nie skończyło. – Ela złowrogo zniżyła głos. – Kiedy nastał wieczór, mężczyźni podwyższył się w organizmie poziom testosteronu, a może i innych męskich hormonów, nie wiem. W każdym razie zaatakował damę swego serca butelką. Miał „parę” w łapskach i sprawił, że butelka pękła. To jednak go nie powstrzymało. Sięgnął po kolejną, po piwie. Krzyczała. Najpierw głośno, a potem już coraz ciszej. Może i sąsiedzi z turnusu, którzy mieszkali w sąsiednich pokojach coś słyszeli i domyślali się przemocy, jednak nikt z nich nie zareagował. Kobieta walczyła, ale nic to nie dawało. Na szczęście zachowała tyle przytomności i siły, by nacisnąć guzik bezpieczeństwa.

– Coś takiego znajduje się w pokojach sanatoryjnych? – zapytałam zaciekawiona.

– Tak. W każdym szanującym się obiekcie jest coś takiego. Na wypadek nagłego zaślabnięcia albo ataku choroby.

– Czy innej cholery – zauważyłam złośliwie.

– Właśnie – przytaknęła Ela i kontynuowała opowieść: – Dźwięk dzwonka zaalarmował pielęgniarkę, która akurat wtedy pełniła dyżur. Wbiegła do pokoju pary kuracjuszy i jej oczom ukazała się przerażająca scena: starsza kobieta leżała na podłodze, wykazując już tylko słabe oznaki życia. Jej partner natomiast zamierzał udusić ją poduszką, zdjętą wprost z ich wspólnego łóżka. W drugiej dłoni dodatkowo dzierżył butelkę po piwie. Historia milczy, czy była ona pełna czy pusta. W każdym razie pielęgniarka i dwaj pracownicy, którzy zdążyli w międzyczasie dobiec do pokoju pary, wytrącili mu butelkę z ręki.

– Brrr. Faktycznie pikantna historia, z życia sanatoryjnych bywańców – podsumowałam.

– To jeszcze nie koniec – ciągnęła dalej Ela. – Policja odkryła, że ten mężczyzna to recydywista. Odsiadywał wyrok za zabójstwo konkubiny. Został jednak zwolniony przedterminowo za dobre zachowanie...

– Cudownie! – krzyknęłam z ironią, rozsierdzona do granic. – I dlatego uważam, że za zabójstwo powinni przywrócić karę śmierci.

– Ty też? – Ucieszyła się Elżbieta. – To możemy sobie podać ręce.

– Nieżle mnie uraczyłaś przed obiadem – powiedziałam.

Potraktuj to jako aperitif – rzuciła ze śmiechem. – Mam jeszcze w zanadrzu jedną mrozącą krew w żyłach opowieść, ale nie wszystko naraz. Przed nami jeszcze pełne trzy tygodnie rozmów na takie tematy.

– I mam nadzieję, nie tylko... – dodałam.

Ani się obejrzałyśmy, a stałyśmy przed stołówką, która znajdowała się na parterze sanatorium. Wystarczyło tylko przekroczyć próg budynku i skręcić w lewo, a już powitał nas smakowity zapach obiadu. Teraz dopiero poczułam, że zjadłabym konia z kopytami. A raczej z kopytkami, bo właśnie takie danie zaserwowano nam dzisiaj na obiad. Kopytka z gulaszem wołowym i surówką z kapusty. Spacer dodatkowo zaostrzył apetyty.

Niestety, nie usiadłyśmy z Elą przy jednym stoliku. Okazało się, że miejsca są ściśle ponumerowane. Elżbieta siedziała przy oknie, ja natomiast otrzymałam miejsce przy ścianie, niedaleko toalet. Z początku byłam sama. Po chwili jednak nadeszły dwie nieznajome kobiety i mężczyzna. Mieliśmy komplet.

Bywalcy i nowicjusze

*Napij się wina, skosztuj jedzenia,
pamiętaj, że wszyscy są pasjonujący.*

Alan Furst, „Szpieg w Warszawie”

Towarzystwo przy stole okazało się bardzo specyficzne. I, jak to przy posiłku, wszystko kręciło się wokół jedzenia. Grubaska spoglądała pożądliwie na jedzenie, ruda z podobnym ogniem w oczach na jedyne go mężczyznę przy naszym stoliku, on zaś zachowywał się tak, jakby tego w ogóle nie zauważał. Ja natomiast bawiłam się doskonale próbując odgadnąć *who is who*.

– Czesława – przestawiła się ta przy kości.

Mówiła niewyraźnie, jak zwykle, kiedy robi się to z pełnymi ustami. Ruda roześmiała się nieco chrapliwie. Jej głos zdradzał lata palenia.

– Baśka. – Łypnęła w stronę mężczyzny. – Jak ta, co miała fajny biust.

– No wiecie, w tej piosence – dodała po chwili, gdy nie odnotowała spodziewanej reakcji. Znów śmiech. Mężczyźnie zadrgał jedynie kącik ust. Przedstawiłam się i ja:

– Ewa.

– Jak pierwsza kobieta w raju – podsumował mężczyzna.

Nie wiem dlaczego ale się zaczerwieniłam. W sumie słyszałam to już niezliczoną ilość razy. Słaby żarcik ale nie wyczuwałam żadnych dziwnych podtekstów. I całe szczęście.

– Panie pozwolą, że się przestawię: Zbigniew.

Po tej prezentacji wróciliśmy do wcinania kopytek z sosem. Czesia nie patyczkowała się z jedzeniem. Mówiła mało, nie tracąc czasu na konwenanse. Gdybym była złośliwa podsumowałabym, że po prostu żre, a nie je. Ale złośliwa nie byłam.

Może przyjechała z daleka i zdążyła porządnie zgłodnieć? – tłumaczyłam ją sama przed sobą. W głębi duszy sama nie wierzyłam w tę wersję wydarzeń.

Aromatom unoszącym się nad talerzami towarzyszył mocny zapach damskich perfum. Takich z gatunku wieczorowych. Baśka widocznie lubiła czuć się jak arabska księżniczka. Zakręciło mi się w nosie.

– Sto lat! – zakrzyknęli chórem, kiedy kichnęłam dwa razy z rzędu.

Wróciłam do jedzenia. Było pyszne. Smakowało jak domowe. Szkoda tylko, że zamiast ciepłej herbaty serwowano jedynie kompot. Pomyślałam sobie jednak, że zaraz po powrocie do pokoju, zaparzę sobie mojego ulubionego Earl Greya. Uśmiechnęłam się do siebie na wspomnienie kolorowych kubeczków Elżbiety. Poszukiwałam jej wzrokiem. Nie zauważyła mnie, pogrążona w rozmowie ze współbiednikami. Zbigniew próbował prowadzić konwersację podczas posiłku. Wyszło kulturalnie, choć nieco bezosobowo. Nie znaliśmy się wcale, więc trudno było poruszać jakieś wspólne tematy. Pozostały więc nieśmiertelne rozmowy o pogodzie.

– Przez całą drogę było bardzo słonecznie – zagadywał.

– Tak, jak na tę porę roku rzeczywiście było słonecznie i ciepło – przytaknęłam uprzejmie.

– A ja muszę przyznać się do czegoś – mruknęła Baśka niczym kocica w rui. – Lubię gorąco.

Skrzywiłam się. Czesia nie zwracała na nas uwagi. Wkładała do ust kawałki kopytek umaczane w ciemnym sosie. Zbigniew udał, że nie usłyszał w jej wyznaniu niczego osobistego. Nadal piłował temat dzisiejszej aury.

– Chyba na poobiedni spacer nie trzeba będzie zabierać parasola?

– A gdzie idziemy? – Baśka nie próżnowała.

Byłam ciekawa, co z tego wyniknie. Zbigniew nie pasował mi na mężczyznę do towarzystwa, coś jednak mogłam wiedzieć o facetach w takich miejscach, jak to? Baśka natomiast wyglądała mi na stałą i niezwykle doświadczoną bywalczynię sanatoriów. W głowie dźwięczały mi rady Joli:

– Jeśli nie złapiesz mężczyzny w ciągu jednego – dwóch dni, będziesz do końca turnusu sama.

Baśka chyba też знаła tę prawidłowość, o czym świadczyło każde słowo i gest przy stole. Śmiać mi się chciało. Bałam się, że zachłysnę się kopytkami albo sos wpadnie mi „nie w tę dziurkę, co trzeba”. Lub, co gorsza, poplamie ubranie, jak to właśnie przydarzyło się teraz Czesławie.

– Obiecałem mojemu współlokatorowi, że pokażę mu po obiedzie Ciechocinek – wyjaśnił spokojnie Zbigniew. – Tak więc Barbaro, może innym razem.

Usłyszałam w jego głosie lekką kpinę. Baśka jednak nie dawała za wygraną.

– Ale zdążycie na wieczorek zapoznawczy? – drążyła. – I mam nadzieję, że przedstawiś mi także swojego współlokatora... To już robiło się nudne. Przyjrzałam się bliżej Zbigniewowi by ustalić, co też mogło przyciągnąć uwagę takiej kocicy, jak Baśka. Faktycznie, mężczyzna mógł się podobać. Wysoki, szczupły, ale nie chudy, z doskonale przystrzyżonymi siwiejącymi włosami. Jednym słowem przystojniak. Trochę w typie Georga Clooneya. Postanowiłam przejąć stery:

– Skąd jesteście? – zapytałam.

Okazało się, że Czesia przyjechała z Wałbrzycha, Baśka mieszkała w małym miasteczku na wschodzie Polski, Zbigniew zaś był spod Warszawy.

– A ja jestem rodowitą tczewianką – przedstawiłam się.

– Ooo – podsumował Zbigniew. – No to mamy tu cały przekrój geograficzny.

– Ela, moja współlokatorka, przyjechała z Rzeszowa.

Po skończonym posiłku Baśka bezceremonialnie wyciągnęła kosmetyczkę. Przypudrowała nos i pociągnęła usta nową warstwą szminki, która starła się podczas obiadu. Znów wyglądała lśniąco i wyzywająco. Zauważyłam w jej oczach małe ogniki złości. Podejrzywałam, że ich przyczyną mógł być brak zainteresowania Zbigniewa. Mężczyzna miał już chyba za sobą takie doświadczenia, bo doskonale balansował pomiędzy, bez wyróżniania żadnej z nas. Czesi i mi było to obojętne, Baśka jednak chyba poczuła się urażona. Kiedy zauważyła, że nie stała się oczkiem w głowie jedyne go mężczyzny przy swoim stoliku, zaczęła spoglądać nerwowo dookoła. Bez wątpienia na sali przeważały kobiety. Jednak sokoli wzrok mojej towarzyszkii wyłuskiwał bezkonkurencyjnie przedstawicieli męskiego rodu. Baśka jako pierwsza wstała od stolika, żegnając się jeszcze słowami:

– To do zobaczenia na wieczorku, Zbyszku. Liczę na ciebie.

Mnie i Czesię totalnie zignorowała. Odeszła z gracją, kręcąc przesadnie biodrami. Nie miałam zamiaru bawić się w Wersal. Po prostu pożegnałam pozostałe towarzystwo i opuściłam stolówkę. Przy schodach zauważyłam Elżbietę:

– Idziemy na miasto czy odpoczywamy? – zapytała.

– Chyba trochę odpoczniemy – odpowiedziałam. – Herbatki bym się napiła.

– Ja też.

Wróciłyśmy do naszego pokoju. Nastawiłam wodę w czajniku. Nasypałam herbaty do kubków, a kiedy woda zawrzała, zalałam czarne, skręcone listki. Nagle poczułam się zmęczona.

– Uff jak mi dobrze! – zakrzyknęłam w stronę Eli, która wyszła właśnie z toalety. – Po obiedzie trzeba jednak trochę odsapnąć. Elżbieta także wyciągnęła się na kanapie. Milczałyśmy.

Obudziłam się, kiedy herbata zdążyła ostygnąć.

– No i z naszych popołudniowych planów nici – podsumowałam. – Spałyśmy prawie dwie godziny.

– Trudno – odpowiedziała Ela. – Jeżeli chcemy zdążyć na wieczorek zapoznawczy, musimy zacząć powoli się szykować.

Nie miałam pojęcia, co wyrażała moja mina, ale Elżbieta zapytała z troską w głosie:

– No, bo chyba wybierasz się tam ze mną? Nie myślę się?

Szczerze mówiąc niespecjalnie miałam na to ochotę. Wyobraziłam sobie klony naszej rudej Baśki rzucające się na wszystkich mężczyzn bez wyjątku. Nie był to zbyt pozytywny obrazek. Miałam w nosie polowanie na mężczyzn i całe te dziecinne podchody w celu zdobycia towarzysza na cały turnus. Planowałam zupełnie inny typ rozrywek. Marzyły mi się piesze wycieczki po okolicy w miłym, zgranym gronie paru osób. Nie wątpiłam ani przez chwilę, że znajdę takowe pośród kuracjuszy przebywających pod dachem naszego sanatorium. Elżbieta jakby czytała mi w myślach.

– Na takich wieczorkach można spotkać świetne osoby. Nie chodzi tylko o tańce.

– Nie mam nic przeciwko parkietowym szaleństwom, jednak boję się, że będę musiała, chcąc nie chcąc, uczestniczyć jako widz w zmasowanym ataku na mniejszość etniczną.

– Mniejszość etniczną? Co masz na myśli, bo nie rozumiem? – W głosie Eli słychać było bezbrzeżne zdumienie.

– Mężczyzn – odparłam z tłumionym śmiechem. – Taka przenośnia. Ich jest tu po prostu mniej niż kobiet.

– E tam. – Elżbieta machnęła ręką. – Nie nastawiaj się tak negatywnie. Ja uwielbiam takie wieczorki, muzykę, taniec. Sama zobaczysz jakie to cudowne. I wcale nie musi być kojarzone z polowaniem na frajera, zapewniam.

Skrzywiłam się.

– Pójdziemy razem, a jak ci się nie spodoba to po prostu wrócisz do pokoju. Tam nikt cię nie będzie trzymał i przywiązywał sznurkiem do nogi od stolika.

- No dobra, dotrzymam ci towarzystwa. Szczerze mówiąc jednak zdecydowanie bardziej gustuję w dziennych rozrywkach, aniżeli w nocnych. Ale – przyznałam – masz rację. Jak coś będzie nie tak wracam do pokoju. Daleko nie mam.
- No i dobrze! – ucieszyła się Ela. – Teraz już żadnej niepotrzebnej straty czasu. Wypakowujemy walizy, wybieramy stroje, mały prysznic, delikatny makijaż i...
- Robimy wejście smoka! – Roześmiałam się.
- Dokładnie – zgodziła się Ela. – Ja pierwsza zamawiam łazienkę!

Poczułam się jak na koloniach. To uczucie wolności, doza podniecenia nowością, a do tego szczypta wyobraźni, co może się stać w najbliższej przyszłości. Takie niewinne jak wtedy, kiedy miałam kilkanaście lat. Dawno już nie czułam czegoś podobnego. Na co dzień przywdziewałam szatę pragmatycznej księgowej i doskonale wcielałam się w tę zawodową rolę. Podobnie jak w rolę matki i żony prowadzącej dom. Chociaż z tym ostatnim nie do końca się udało, przynajmniej sądząc po reakcji mojego eks męża. Na to wspomnienie skrzywiłam się jak po occie połkniętym na czczo bez zagryzki.

Nie zepsuję sobie tej małej radości przez głupie wspomnienia – pomyślałam z goryczą, odpędzając wizję mojej byłej połówki niczym natrętnego owada. – Zamierzam dziś się dobrze bawić i nic mi w tym nie przeszkodzi.

Pełna dobrych postanowień, wywaliłam zawartość mojej walizy na łóżko. Zabrałam nawet kilka własnych wieszaków, nie wiedziałam bowiem czy będzie ich tu, na miejscu, odpowiednia ilość. Okazało się, że moje obawy były zbędne. Kiedy powiesiłam wszystkie sukienki i płaszczyk, zostało jeszcze sporo pustych. Przesunęłam je na drugą stronę szafy, tę, którą miała zajmować Elżbieta. Z łazienki słyszał było plusk wody połączony z radosnym podśpiewywaniem. Ułożyłam buty na dnie szafy, a potem

wyjęłam moje kosmetyki. Pozostało jeszcze zadecydować w co się ubiorę na zabawę. Mój wybór padł na małą czarną. Uznałam, że klasyka jest najbezpieczniejsza. Do sukienki pasował delikatny naszyjnik z różą. Miałam już przygotowane wszystkie elementy stroju, kiedy Elżbieta opuściła łazienkę.

– Idź się umyć! – zakrzyknęła podekscytowana i lekko zaczerwieniona po kąpieli. – Ja tymczasem rozpakuję ubrania i coś wybiorę na dzisiejszy wieczór.

– Dobra. – Skinęłam głową, po czym zaopatrzona w świeży ręcznik i przybory toaletowe ruszyłam pod prysznic.

Wyszłam odświeżona, a jednocześnie pełna energii. Zaczynałam i ja cieszyć się na wieczorek zapoznawczy w sali na dole. Założyłam sukienkę, po czym zabrałam się za makijaż. Nie chciałam, by był zbyt wyzywający, ale też nie zamierzałam wyglądać całkiem nijako. Musiałam po prostu wypośrodkować.

Kropelka cięższych perfum na wieczór też nie zaszkodzi – pomyślałam sięgając do moich zasobów.

Chciałam wyglądać pięknie i kobieco. Przejrzałam się w lustrze. Wyglądałam naprawdę nieźle, potrzebowałam tylko jeszcze zrobić coś z włosami. Rozczesałam je dokładnie, po czym lekko popsikałam lakierem. Tylko taką mgiełką, nie cierpię bowiem, kiedy fryzura przypomina hełm. Zależało mi, żeby sprawiała naturalne wrażenie. Lekko i na luzie, oto moja dzisiejsza dewiza. Ela założyła kolorową, powiewną sukienkę. Wyglądała w niej przepięknie. Lekkie czółenka podkreślały zgrabne nogi.

– No, no. – Elżbieta popatrzyła na nasze odbicie w lustrze. – Niezłe z nas laski, nie uważasz?

Przytaknęłam ze śmiechem.

Tanec jest lekarstwem

*Ciepły wieczór, dobra muzyka, tańce, picie...
to sprawdzony przepis na wspaniałą zabawę.*

Jill Shalvis, „Szczęśliwa przystań”

Tanec to najlepsza forma rehabilitacji. Te słowa brzmiały niczym mantra. Zanim rozpoczął się pierwszy tanec usłyszałam je wielokrotnie. Widocznie miałam do czynienia ze stałymi bywalcami sanatoriów. Lubiłam sobie czasem potańczyć, ale żeby zrobić z tego remedium na wszelkie zło? Nie, to nie dla mnie. Jednak muszę przyznać, że proste rytmy i jeszcze prostsze słowa utworów, które wypełniały salę na parterze, wywoływały i we mnie chęć zabawy. Było w tym coś uzależniającego. A może po prostu poczułam się spuszczone z łańcucha codzienności? Nie ukrywam, że za swój stan częściowo winiłam drinka, którym uraczyłyśmy się z Elą przed samym wyjściem. Teraz sok z wódką krążyły w mojej krwi wraz z muzyką, która otaczała mnie ze wszystkich stron. Nie wiadomo kiedy, poczułam się częścią tej społeczności. Zaczęłam nawet podśpiewywać refreny i klaskać w rytm muzyki. Bawiłam się jak dziecko. Najfajniejsze były tańce w kółeczku. Radosne i niezobowiązujące. Nie miałam ochoty na żadne przytulanki i udawanie, że mi na kimś zależy. Spokojne dłonie, nieświeże oddechy, banalne słowa rzucane pomiędzy jedną, a drugą zwrotką cikliwej piosenki. Nie, to zdecydowanie nie były moje klimaty. W grupie czułam się sobą. Było mi rażno i swojsko. Jedynym szaleństwem było skakanie w takt muzyki. – Tanec to najlepsza forma rehabilitacji! – zakrzyknęłam w stronę mężczyzny tańczącego najbliżej mnie.

– Pewnie! – odkrzyknął. – To się wie!

Nagle zauważyłam w tłumie rudą, czyli Baškę z naszego stolika. Przytulała się do niskiego facecika z wyraźnie przełysiałą czupryną. Dziewczyna nie marnowała czasu. Na linii sukienka – marynarka aż iskry szły. Nie byłam pruderyjna, nawet uważałam się za liberalną w dziedzinie stosunków damsko – męskich, jednak tak wyzywające zachowanie napełniało mnie niesmakiem. Odwróciłam głowę w drugą stronę i... natknęłam się na Zbigniewa. Uśmiechał się do mnie, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. Nie byłam naiwna. Wiedziałam, że w tym wieku to niemożliwe. W grę musiała wchodzić stomatologia estetyczna. Takie dziwne myśli przechodziły mi wówczas przez głowę. Muzyka dudniła, w głowie się kręciło, zabawa trwała, a ja zastanawiałam się, czy bielutkie zęby Zbyszka są prawdziwe.

– Ela! – zwróciłam się do mojej współlokatorki z udawanym przerażeniem. – Ile mi tej wódki dołałaś do drinka? Pół butelki?

– Ha, ha! – Wygłupiała się Elżbieta. – Czyżby ktoś już zawrócił ci w głowie? A może ty komuś po pijaku, no przyznaj się?

Spojrzała na Zbyszka. Roześmiała się tak, jakby nagle spłynęło na nią oświecenie.

– Aaa już rozumiem! Jesteście parą? Szybko poszło.

– Bardzo śmieszne. – Próbowałam ją uciszać odciągając jednocześnie na bok.

Bąłam się, że naszą idiotyczną wymianę zdań usłyszy Zbyszek i pomyśli, że „zagięłam na niego parol”.

– Elka! No proszę, daj spokój.

– Ale co, nie podoba ci się? – zapytała ze zdziwieniem w głosie. – Facet jak malowanie. Uważaj, bo jeszcze jakaś Baśka ci go porwie do tańca i zaklepie na cały turnus.

– Miły jest – rzuciłam ostrożnie. – A Baśka chyba już wybrała towarzysza do tańca i do... – Nie dokończyłam wskazując ruchem głowy przytuloną parkę.

Ela parsknęła śmiechem.

– Pasują do siebie, nie ma co! – W jej głosie zabrzmiała złośliwość, a może zazdrość, nie do końca udało mi się to rozszyfrować. Faktycznie, mężczyzna wyglądał niczym balonik. Do tego był niższy od Baśki o dobre pół głowy. Tańczył jednak dobrze, więc może to jej odpowiadało?

Wróciłyśmy na parkiet. W końcu przyszłyśmy tu potańczyć, a nie obgadywać bliźnich. Obrzuciłam spojrzeniem tańczącego Zbyszka. Musiałam przyznać w głębi ducha, że był przystojny. W dodatku nikomu się nie narzucił i zabawiał wszystkie obecne panie bez wyróżniania żadnej z nich.

– A teraz panie proszą panów! – oznajmił głos wodzireja, wzmocniony mikrofonem.

Zespół zaintonował romantyczną piosenkę. Kiedyś na takie melodie mówiło się „pościelówki”. Wiadomo, że do czegoś takiego trzeba się poprzytulać.

– Elka! Siadamy? – rzuciłam trwożliwie.

Poczułam się bowiem jak na balu ósmych klas w podstawówce. Elżbieta zniknęła mi z pola widzenia. W jednym momencie ją widziałam, była obok mnie, a w drugim już jej nie było. Trudno. Stałam jak ten kołek i nagle... Oczom nie mogłam uwierzyć. Moja Elżbieta poprosiła do tańca Zbyszka. Poczułam lekkie uczucie zazdrości. Nie miało ono absolutnie żadnych podstaw, bo mężczyzny w ogóle nie znałam, poza wspólnie spożytym posiłkiem. Nie mogłam mieć co do niego żadnych planów i nie miałam. A jednak czułam się dziwnie. Oszukana? I żeby to jeszcze jakaś inna kobieta poprosiła go do białego tanga, ale Ela? Przypomniałam sobie jednak, jak zwracała na niego moją uwagę. Testowała czy mężczyzna mi się podoba. A ja? Ja udawałam, że jest mi to zupełnie obojętne. Widocznie jednak nie było, ponieważ poczułam na policzkach niezdrowe wypieki. Lubiłam panować nad sytuacją, a teraz nie do końca wiedziałam, co się dzieje. Udałam się więc do toalety.

Zimny okład dobrze mi robi – podsumowałam.

Faktycznie, kiedy przemyłam twarz zimną wodą odzyskałam zdrowy rozsądek. Doszłam do wniosku, że miałam chwilowy zawrót głowy spowodowany tańcem, głośną muzyką i wypitym za szybko alkoholem do którego nie byłam przyzwyczajona. Kiedy wróciłam na salę, orkiestra właśnie zaczęła grać bardziej dynamiczny kawałek. Od razu wmieszałam się w tłum i znów poczułam się szczęśliwa. Wyginałam się w tańcu, nie czując przy tym żadnych dolegliwości ze strony ostrogi piętowej tudzież zwężonej szparki. Było mi dobrze. Ktoś kiwał ręką w moją stronę. To Czesia, babeczka z mojego stołówkowego stolika. Pomimo tuszy tańczyła zawzięcie, z zadziwiającym poczuciem rytmu. Tłum falował w takt muzyki. Znalazła się także Elżbieta.

– Dobrze się bawisz? – zapytała przekrzykując hałas.

– Jasne! – odparłam zgodnie z prawdą.

– Zaraz będzie trochę przerwy. Może pójdziemy coś zjeść?

Pod ścianami ustawiony był szwedzki bufet. Kiedy orkiestra przestała grać i zarządziła małą przerwę, podeszliśmy tam. Zaopatrzone w talerzyki i widelce nakładałyśmy co lepsze kaski. A było w czym wybierać. Mnóstwo rodzajów wędlin, kolorowe sałatki, fantazyjnie pokrojone pieczywo, egzotyczne dodatki. Widziałam nawet *sushi* i tę zieloną pastę o smaku chrzanu, która nazywała się *wasabi*. W maleńkich pojemniczkach znajdowały się różne sosy, majonezy, musztardy oraz ketchup. Moje zgłodniałe oczy wypatrzyły deskę serów. Nałożyłam sobie także na talerz oliwki i paprykę nadziewaną greckim serkiem.

– Życie nie umierać! – rzuciłam w stronę Eli, tak mi się przynajmniej zdawało.

Ona jednak podeszła już w tym czasie do stolika obok, a moje słowa trafiły na zgoła inny grunt. Zbyszek uśmiechnął się do mnie szeroko. Spojrzeliśmy na swoje talerze i roześmialiśmy się jednocześnie. Wybraliśmy dokładnie ten sam zestaw.

– Cóż za zgodność charakterów – zażartował, a ja odpowiedziałam lekko:

– Charakterów to może nie, ale zgodność gustów kulinarnych stuprocentowa.

Z pełnym talerzem trudno przeciskać się przez tłum. Zatem przeszliśmy w kąt sali, tam, gdzie można było usiąść i w spokoju spożyć posiłek.

– Białe czy czerwone? – zapytał.

– Ale co? – Byłam zdezorientowana.

– Wino oczywiście. Jakie pani woli, wolisz... – zaczął się płatać.

– Preferuję czerwone – odrzekłam. – I tym właśnie winem przypieczętujemy przejście na ty, dobrze?

Skinął głową na znak zgody.

– Będzie nam się lepiej rozmawiało – podsumowałam.

Czekałam chwilę, aż wróci. Dopiero, kiedy wychyliliśmy do połowy kieliszki z czerwonym, wytrawnym winem i przeszliśmy na ty, napięcie zmniejszyło się. Wówczas zabraliśmy się zgodnie za opróżnianie naszych talerzyków. To była prawdziwa uczta. Nie bałam się, że przytyję. Wiedziałam, że za chwilę stracę spożyte kalorie w tańcu. I tak rzeczywiście było. Kiedy po przerwie zespół znów zaczął przygrywać, ruszyliśmy na parkiet. Doszła do nas Elżbieta przedstawiając ludzi, którzy przypisani zostali do jej stolika. Tak oto poznałam Pawła, Iwonę i Krystynę. Byłam w swoim żywiole. Lubiłam poznawać nowych ludzi, bawić się z nimi i pracować. No dobrze, najczęściej miałam okazję tylko pracować, ale już wiedziałam, że to się tutaj zmieni. I to o sto osiemdziesiąt stopni. Poprzysięgåłam sobie, że będę korzystać ze wszystkich możliwości, jakie niesie ze sobą przebywanie w sanatorium, by złapać trochę zdrowia. Nie tylko tego fizycznego, lecz i psychicznego. Oderwanie się od codziennych zajęć i robienie tego, czego od lat się nie robiło sprawiało, że chciało się żyć. Nie trzeba było niczego udawać. Każdy z tu obecnych miał te same potrzeby, ten sam cel. Bawić się i wypoczywać. Albo odwrotnie. Co komu pasowało.

– Brawa dla tego, kto wymyślił sanatoria! – krzyknął Paweł.